№ 16. WARSZAWA, 30 CZERWCA 1906 R. ROK I.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

PRENUMERATA:

w Warszawie:		Z przesyłką pocztową:	
z odnosz. do domu	r. k.	Rocznie	9 —
Rocznie	7 60	Kwartalnie	2 25
Kwartalnie	1 90	Numer pojedyń.	— 15
Miesięcznie	— 65	Za zmianę adresu	— 22
Numer pojedyńcz.	— 15		

PRZEGLĄD SPOŁECZNY WYCHODZI CO SOBOTA.

Adres Redakcji i Administracji Wiejska Nr. 15.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz

Administracja otwarta od 10 do 5—prócz świąt

W interesach redakcyjnych porozumiewać się można od 3-ej do 4-ej.

DROBNE RĘKOPISY NIE ZWRACAJĄ SIĘ.

Szanownym Prenumeratorom przypominamy, że czas odnowić przedpłatę na następny kwartał.

PŁAZY.

—o—

„*Stwierdzone* są strzały rewolwerowe, dawane przez żydów do pochodu procesji, co wzburzyło tłumy“...— zapisał „Dzwon Polski“ o pogromie białostockim w tym samym czasie, gdy gubernator grodzieński, Kister, owym pogłoskom zaprzeczał.

Jeżeli „Słowo” przypisywało rozruchy antysemickie „żywiołom skrajnym“ — nic w tem dziwnego: złą wolę dystansuje tu bajeczna ignorancja najmitów szlagonerji, nie rozumiejących absolutnie nic z tego, co się dokoła nich dzieje. Ludzie, kwalifikujący się na woźnych w kantorach stręczenia służby domowej, mogli aportować jako tako wiadomości dziennikarskie, dopóki, ze względów cenzuralnych, wolno było milczeniem udawać filozofów. Teraz trzeba gadać, więc plotą trzy po trzy.

Zrozumiałe.

Rzecz się ma jednak zupełnie inaczej z narodową t. zw. „demokracją”.

Istoty, obsługujące „Dzwon Polski”, głupotą tłumaczyć się nie mogą. Znane im są sprężyny pogromów Kiszyniowa, Odesy, Homla, Żytomierza.. Wiedzą, kto i poco je urządzał. Rozumieją plan całej tej akcji i — sympatyzują z nim.

Tak, *sympatyzują*!

Taktyka reakcji, przystosowanej do warunków nowożytnych, reakcji współczesnej — (nie tej bezzębnej ze „Słowa“) — posiada we wszystkich krajach jedne i te same cechy, jedną i tę samą taktykę.

Pierwszem jej staraniem jest przywdzianie maski demokratycznej, by módz oprzeć się na zastępach ludowych — w potęgę „czoła narodów“ zwątpiła. Maska ta jednak musi być tak misternie sporządzona, by, schlebiając tłumom, nie stała się—broń. Boże! — sztandarem ich rzeczywistych interesów, by nie groziła niczem korzyściom warstw, pragnących utrzymania istniejących porządków.

Przybiera więc maska owa wyraz zachwytu nad każdym przejawem „swojskości“ — często zresztą swojskości arcyproblematycznej. Niema dość grubego zabobonu, niema dość szkodliwej wady, którychby nacjonalizm nie apoteozował, skoro tylko ciemna rzesza ujawnia do nich przywiązanie.

„Brońmy naszej odrębności“! — wołają, ufając, że lud zbyt jest naiwny, aby mógł im odpowiedzieć mniej więcej temi słowy:

— Hypokryci! sprzedaliście przed wiekami niemcom—braci naszych ze Szląska; aż do ostatnich lat wypieraliście się ich; germanizacja była okrutna, obrony znikąd... Jednak chłop tamtejszy nie przestał być polakiem. Wobec tego można już wierzyć w istotną siłę cechy, zwanej polskością i nie udawać troski o jej zachowanie.

Lud polski naogół tak im nie odpowie. Analfabeta w pokorze ducha da wiarę, że każdy jego przesąd jest warownią bytu narodowego, że kto się na ten przesąd porywa—to wróg, to „obcy“!...

Obcy! — magiczne zaklęcie.

Żydowski „goj“, muzułmański „giaur“: piękne prototypy.

Każdy krok na drodze postępu wszędzie i zawsze wstecznictwo zwala na „żywioły obce“. Tem przecież i Targowica, walcząc z Konstytucją 3 maja, wzniecała popłoch wśród zbydlęconej szlachty.

Żydzi są dla tej akcji materjałem rzeczywiście wymarzonym.

Różni wyznaniem, inni powierzchownością, wstrętni handlarstwem, słabi względną liczebnością, a sprzyjający rzeczywiście—jako prześladowani—każdej dążności humanitarnej, stanowią oni żywioł do szczucia i doraźnego zwyciężania łatwy.

To też wszędzie — nawet we Francji — reakcja z obecności ich korzysta. Wstecznictwo polskie, mimo swej głoszonej „odrębności“ i „swojskości“ pod tym względem wyjątku nie stanowi i w głębi duszy jest ono i być musi antysemickiem.

Ale ten płaz nędzny niema odwagi wystąpić śmiało: w naszych warunkach (nieszczęsnych -- tak!) trzeba koniecznie różnić się od chuliganów rosyjskich, nie wolno odsłaniać zdobnej w Orła i Pogoń przyłbicy, gdy ma się oblicze fałszu...... Zresztą przecież... nasza kultura... Europa widzi...

Więc bodaj choć cokolwiek przy okazji skorzystać, bodaj choć trochę podniecić opinję... Tak, tak... „stwierdzone są strzały“. My nie buntujemy, co znowu, ale... Nagle wstąpiła w nich wiara w raporty urzędowe.

Płazy nędzne!

Benedykt Hertz.

Z nekrologji.

Czasy były późne i ludzie znużeni.

Niegdyś wierzono w orły, ale orzeł jest ptak drapieżny.

I oto przestano weń wierzyć.

Orzeł, mówiły matki dzieciom, jest ptak w gruncie rzeczy głupi.—Czy jedliście kiedy rosół z orla? Nie. A widzicie. Orzeł lata górnie: łatwo mu, bo jest chudy. Kapłon nie uczyni nigdy rzeczy pozbawionej użyteczności społecznej. Kapłon jest ptakiem moralnym, jest poważny i ma zmysł empiryzmu.

A la longue kapłon to rzecz nudna.

A więc melancholja...

Anielka o łabędziej szyi—w objęciach przedsiębiorczego krętacza a ja... och, och, *bez dogmatu*.

Co jest wart kapłon, gdy apetytu braknie.

Mój Boże!

Jak głupio stworzyłeś ten świat; mój dziad dostawał gorączki na widok orła na chorągwi, a ja... oto najpiękniejszy indyk nadziewany truflami; a dusza moja ciągle jest znudzona.

La chair est triste, hélas,
Et j'ai lu tous les livres.

Aż nagle po wielu i wielu rozczarowaniach — coś jakby struna inna, orla nuta.

Uciekajcie, woła mama, babcia, ciocia Balbina, p. Włodzimierz Spasowicz. Orzeł śpiewa. Znamy to: może być nieszczęście.

Ależ babciu — to tylko papuga.

Papuga! Ach papuga! Och, szlachetny ptaku więc i ty masz tradycję i w tobie się krwawi ból opuszczonych zamczysk, walących się kościołów?

Papuga wpada w zapał.
Jestem miljon!

Nasz naród ma znów duszę, woła p. Feldman, St. Brzozowski no—i inni.

A papuga śpiewa:
Na bój! Na bój!
I zostaje w klatce.

Z uporem manjaka podsuwa jej niżej podpisany prometeistyczne intencje.

Papuga dziękuje, kłania się i pozostaje w dziedzinie symbolu.

Feldman wsiadł na konika o biegunach, papuga rzuca orle hasła.

Duch — klatka — naród, absolut wszystko brzęczy, szczęka.

Mirjam chodzi z kadzielnicą.

Sienkiewicz rozdarł szlafrok. Feldman na ognistym rumaku galopuje.

Młoda Polska!

Nie wychodząc z klatki—sto pochodów krzyżowych, zwycięstw, klęsk, rozdarć duszy, pojednań.

I wszystko to za sprawą zielonej papugi.

Sztuka jest absolutem, absolut sztuką. W papudze ocalenie narodu.

Kisielewski tylko powątpiewa... Papuga... dramat.. vieux jeu. Spódniczki Otero! To jest słowo zagadki. Nowe życie w Polsce. Warszawska papuga. I na karku wszechpolskiej nierogatej bestji święci swój trjumf apokaliptyczny.

Nietylko Otero! Precz z żydami! Mort aux juifs! Dusza narodowa i taniec płomienistego nihilizmu!

Zetnę! Zetnę! sroży się Feldman i groźnie stuka biegunami. Nic nie szkodzi, że Mefisto się śmieje, ja dojadę, dojadę...

Serce moje pełne jest poświęcenia dla uszlachetnienia „egzystencji“ — trzeba postawić posąg St. Kozłowskiemu. Wprawdzie jest to najbardziej wyzuta z myśli i artyzmu głowa, ale to nic nie szkodzi.

Sztuka uszlachetnia obyczaje, wobec zdziczenia mas, — nie można powodować się egoizmem. Niech nawet mój *Starościc* padnie byleby tylko tradycja, no i t. d.

Robi mi się smutno. Wzrok pada na dwa wykrawki gazetowe: jeden z Warszawskiego *Słowa*.

„Do jakiego stopnia zdziczenia doszły żywioły skrajne, o tem świadczy nadchodząca z Białegostoku wiadomość o rzuceniu bomby w tłumy, zebrane dla spełnienia obrzędów religijnych, na procesję prawosławną. Trudno zaiste znaleść właściwe słowo potępienia na te objawy dzikiej bestjalności, na to mordowanie ludzi dla mordowania, bez myśli innej, bez powodu, bez celu. Jest to jedynie rezultat nawyknienia pewnych kół młodocianych, niestety, zbrodniarzy, do zbrodni najpotworniejszych. To równie głupie, jak zwyrodniałe (ubliżylibyśmy zwierzętom, gdybyśmy powiedzieli zezwierzęcone) żywioły nie zdają sobie sprawy z nieuniknionych skutków takich zbrodni. Stają się one nietylko powodem najsilniejszych represji, lecz torują drogi reakcji, która obejmie najszersze koła społeczne. Wszak objaw reakcji wreszcie godnej najsurowszego potępienia, jak dokonana zbrodnia nastąpił wczoraj natychmiast w Białymstoku“.

A obok inny skrawek: telegram urzędowy: *Grodno* „Zamieszczony dziś pomiędzy ajencyjnemi depeszami, jakoby urzędowy telegram o wydarzeniach w Białymstoku 1 (14) czerwca jest całkowicie fałszywy: nikt z duchownych, czy to wyznania prawosławnego, czy też rzymsko-katolickiego nie ucierpiał, dzieci rozdeptanych nie było. Procesje rozeszły się spokojnie i większa

część uczestników wydaliła się za miasto do domu i t. d.“.

Grodzieński gubernator *Kister.*

Istotnie ubliżylibyśmy zwierzętom!

Ksiądz Afanasiew żąda w dumie oddawania pod sąd redaktorów pism antysemickich...

Ale co nam „Tuła, Samara, Samarkanda“.

Zresztą osłów się nie gilotynuje, woła redakcja Słowa i hieratycznie wierzga.

A Nowaczyński upaja się poświęceniem: Mniejsza o mój „dramat“. Niechby i u nas tak, jak w *Europie* świnia we fraku i smokingu wsłuchiwała się w Kozłowskiego dramaty.

Nie!

Świnia ma być w kontuszu, przy karabeli — wrzeszczy Dzwon Polski.

Precz z patrjotami, ma być we fraku—irytuje się „satyryk“ Nowaczyński. Mniejsza o to zresztą, głównie, aby nie stała się dzikiem, jak w Tule, Samarze i Samarkandzie.

Tak, tak w Tule!
Tam Skirmunt we zbroi
Złocistej, skrzydlatej,
Z białym orłem na chełmie,
A wierzchem na świni,
Już wyjechał na pochód,
A wszyscy Styszyńscy
Błogosławią.
Idą do nas już polskie legjony;
Ziemia jest tylko dla mnie,
Ja od wieka już ryję
Żmudzkie puszcze!
We mnie jest kultura,
Chłop jest dziki,
Głód w karbach go trzyma.
Ale ty starcze Własie
Nie wiesz, że to Polska
Woła,
Ogłód co puchlizną
Dzieci ci zabija.
Ty zaorz pługiem ziemię,
Ziemię swoją czarną
A z niej powstaną prochy
Umęczone i bezdomne
I one zaszepcą
Za waszą i naszą
Wolność my ginęli.
Ty prochami temi
W twarz ciśnij,
Gdy o Polsce ci zaszczeka
Kto z tych,
Co wszędzie obcy,
Których nie zna ziemia
Pracą ludu żyjąca.
Ty wierz w ognie żywe
Wierz w szepty
Niw złocistych.
A od polskiej ziemi
Doleci cię ten głos
Wielki i ognisty
Głos, który woła sam
A nie przez usta
Co kradną, kiedy jedzą,
A gdy mówią—kłamią.

A. Czepiel

ANTONI MILLER.

Z dziennika prostytutki.

(Ciąg dalszy).

Wszedł do pokoju Kazio.

Pocałowałam go... Spojrzał mi w oczy nieco zdumiony... Ja mu nic nie mówiłam.

Wieczorem wyprowadzono mnie na balkon. (Mieszkanie mamy na rogu al. Ujazdowskich i Instytutowej). Ruch powozów i gwar przechodniów zlewał się w jakiś miarowy jednotonny szmer... Zapadłam w półsen... Kazio usiadł mi u stóp i złożył głowę na kolanach.

Siedzieliśmy tak prawie do północy. Kazio oparł się rękoma o me kolana i z jakimś dziwnym, głębokim smutkiem w oku zaczął mi się przyglądać. Zmierzch wieczoru walczył z promieniami księżyca, wytwarzając jakiś dziwny szarobłękitny ton powietrza, przepojonego skwarem dnia i wonią kwiatów.

Wierzchołki drzew sięgały prawie balkonu... Zdawało mi się, że zielone kiście uderzają w odkrytą pierś moją i wzniecają w niej żary tęsknoty. Ale za czem?

Czy za haszyszem zmysłów? Czyżby zmysłowość upominała się o swe prawa w chwili panteistycznego upojenia czarem wiosny?

Prawdopodobnie był to przypływ siły życiowej, poczucie powrotu do zdrowia. Nie myślałam o niczem; odtrącałam myśl...

Schyliłam głowę na ramię Kazia.....

12 czerwca.

Pojutrze wyruszamy na wieś. Ilekroć postanowiłam śmiało rozmówić się z matką Kazimierza, zabrakło mi odwagi... Dziwna moc tkwi w jej spojrzeniu i tonie rozmowy... Głos harmonijny, równy, zapadający głęboko w duszę... Oczy dobre, tak dobre, że się aż przykro robi, widząc wcielenie dobroci poufnie zbliżającej się do nałożnicy...

Syn ją uwielbia, służba lubi, a podobno na wsi lud uważa za anioła zacności i poświęcenia; sąsiedzi i plebanja uważają ją wszakże za wolterjankę.

Rozumiem dobrze, że dla wiejskich gąsek takie kobiety jak Sajkowska wzbudzają nienawiść. Wyższość umysłowa zawsze jest przez ludzi nie lubianą.

14 czerwca.

Onegdaj Sajkowska przyszła do mnie, kiedym była w łóżku i spytała:

— Czy ci kiedy mówiła matka co to jest życie z mężczyzną?

— Nie, pani. Nasze matki nie poruszają „niepanieńskich“ materji wobec dzieci i panien.

— A wiesz ty, co to jest żyć po raz *drugi*?

— Nie rozumiem pytania...

— Piewsze życie — mówiła Sajkowska prelekcyjnym tonem — to życie, które wokół nas stwarzają rodzice i wychowawcy.

Okres dziki, fałszywy, sztuczny, cieplarniany. Dzieciństwo i dojrzałość nasza przemijają w tej cieplarni swojskich tradycyjnych nałogów.

A drugie życie — to *złamanie* się duszy. Uderza piorun zbawczy, rozbija szkiełka różowe — i dusza albo się odradza, albo umiera.

Jesteś właśnie w początku tego nowego życia. — Co myślisz o nim? Czy zapomniałaś o starym? Czy błogosławisz piorun, który spalił w tobie starego człowieka?

— Jeszcze nic nie wiem, odparłam.

Na tem urwałyśmy rozmowę...

* *
*

Dzisiaj wieczorem lokaj oświadczył mi, że pani zamieszkała na dole. Kazio jeszcze pracuje w gabinecie. Światło lampy pada przez szpary w drzwiach. Zrozumiałam co to znaczy...

Przykro... ale inaczej być nie może: wszak powróciłam do zdrowia! Ha! Zaczyna się nowe piekło, nowy krąg dantejski...

20 czerwca.

Jestem od trzech dni na wsi. Dano mi zupełną swobodę w ciągu dnia. Ale ta swoboda wydaje mi się czemś bezkresnem, a dzień niema końca i początku. Siedzę apatycznie w altanie w końcu ogrodu, skąd podziwiam piękny widok na niwy i łąki. Gdy myślę, czuję jak gdyby myśli szły ze mnie falą i spadały na ziemię, jak mgławica rosy. Nie przyjmowałam z zewnątrz żadnego wrażenia, nic nie przemówiło do mnie *myślą,* gdyż było bierne, martwe, tylko *ja* myślałam, tylko *zemnie* wyłaniały się roje męczeńskich myśli, zrodzonych w tumie wewnętrznego bólu; widziałam *w sobie* wyraźny przebieg wszystkich wypadków od owej nocy grudniowej: siebie, Andrzeja i takie fakty jak mój wyjazd, chorobę, i pobyt w Łodzi...

Tam było mi o tyle lepiej, że szał i upodlenie zabijały myśl i pamięć. — A teraz przeszłość staje przedemną z nową mocą i rozbudza stary ból...

Kiedyż siłą woli zdepczę smoka wspomnień? Unikam ich. Lepiej podtrzymywać moją bierność, martwotę. — Ten nowy człowiek, rozumujący na zimno — nie jest tak straszny jak stary. Moje stare „ja" miało serce i duszę inną. — Gdyby ono zmartwychwstało — z rozpaczy targnęłabym się na życie lub dostała obłędu.

Jeszcze mnie coś trzyma przy tym podłym życiu!

21 Czerwca.

Poczciwie i szczerze rozmawia ze mną matka Kazimierza, rozwijając swą teorję niepodległości kobiety. Nie znam życia, więc się przerażam, że ma ono karty nieraz brudniejsze, niż te, które oglądałam w lupanarach. Jeżeli tak jest, poco żyć i poco jest życie?

— A iluzja! odpowiada na to ironicznie Sajkowska.

W życiu rodzinnem karmią iluzjami cnót obywatelskich. — Do cnót tych zaliczają się: szowinizm, jako tarcza obronna patryjotyzmu; — nienawiść ku wszystkim innym rasom — jako akcent polityczny swej polskości; — ekonomiczny postęp—redukujący się do walki z semityzmem w stylu średniowiecznym.

Moralność rodziny — polega na przechowywaniu formułek przyzwoitości... Atoli ducha czystego w niej niema. Dzieciom każą wierzyć w czystość obyczajów ojca; — ojciec kryje swe grzeszki przed żoną — a ta udaje, że nie widzi: dla spokoju domu, dla dzieci!

Dzieci również udają — że o niczem nie wiedzą. Matki kryją przed dziećmi tajemnice życia, mówiąc: im dłuższa iluzja - tem lepiej. I umysł nasz narodowy, atawistycznie bezkrytyczny, po takim wychowaniu uwierzy ostatecznie w niezbędność iluzji, jako lekkiej gazy, przykrywającej nagość prawdy.

A w życiu towarzyskim? Konwenans przybrał również cechy iluzji... Bierzemy ją często za dobrą monetę, traktujemy, jako fakt realny. Wogóle, w razie zawodu oskarżamy przyczyny trzeciorzędne — a nigdy siebie z naszą niepoprawną iluzją.

Boimy się nagiej prawdy: milsza zaobłoczna, łudząca iluzja, bawiąca nas jak dzieci, niż ostrze palące i kłujące prawdy. Dla czego? Bo prawda zmusza analizować, myśleć...

A my — jesteśmy chorzy na umysłowe lenistwo. Wolimy grać na lutni...

25 czerwca.

Kazio przyjechał... Jestem nieco weselszą. Łagodny charakter Kazia, dowcip, subtelna grzeczność i delikatność ujmują mnie do tego stopnia, iż chwilami zapominam, czem jestem. Czuję jakieś uwielbienie, jakąś cześć ku zrównoważonym ludziom. Nie mogą Kaziowi nic zarzucić oprócz tego, że bądź co bądź, jest moim kochankiem.

Stosunek nasz świat nazwałby życiem na wiarę. Ja sądzę inaczej. Życie na wiarę — jest to harmonijny stosunek dwojga, którzy się kochają, ale nie mają jeszcze wiary w trwałość stosunku i uczuć własnych. Kochający się na wiarę, choć żyją chwilą, mają też pewne projekta na przyszłość. Moja harmonja z Kazimierzem ma oryginalny, odrębny charakter. Harmonizują nasze kultury umysłowe, nasze charaktery, nasze młode, szalejące ciała. Ale niema w mojej duszy tego tajemniczego głosu, któryby szeptał: choć na śmierć, choć na stos — byleby z nim! Nie czuję tego marzycielskiego pierwiastku miłości, co drży w sercu młodem, gdyby lekkie trzepotanie skrzydeł ptaka. Niema też we mnie tęsknot nieokreślonych serca—do spowiedzi z uczuć i myśli przed jedynie drogą i odczuwającą mnie istotą. I dla tego w chwilach najczulszych pieszczot z jego strony i roztkliwienia z mojej — czuję pomiędzy nami mur z lodu...

Sprobuję przemóc siebie... Ale rozpoczynam walkę bez ufności.

* *
*

Wierzę w miłość, jako w siłę odśrodkową, samorodną. Rozumowaniem, lub przyzwyczajeniem nie wytworzę jej. Wymagam, by miłość stała się dla mnie imperatywem w całym psychofizycznym moim ustroju. Pomimo tego, jestem przekonaną, iż jest ona *„najsilniejszym łańcuchem, który najłatwiej się rozrywa"*. Nie

wierzę też w serca męskie, te serca wyziębłe, które od zawodu rzadko się łamią.

29 Czerwca.

Smutno, aż do bólu! Nic nie zajmuje mnie, nie bawi. Śnię o matce, o ojcu. Tęsknię do nich. Miewam listy od matki w tonie rezygnacji i żalu: już nawet nie wymawia mi... Biedna! Wciągnęła się w jarzmo obowiązków gospodarskich i małżeńskich, jak wół nie odczuwający nierówności gleby, ani razów biczyska. Ojciec — despota. Matka swą łagodnością upoważnia go do coraz większej samowoli. Ostatniemi laty despotyzm ojca zrodził niechęć ku niemu. Jakim prawem mężczyzna upadla własną żonę? I co zmusza matkę do takiej bierności? Razu pewnego spytałam matki, po co ulega? „Taki jest porządek przyrodzony", odpowiedziała; żona musi być podwładną mężowi. „Należy też pamiętać na przysięgę"!

Przysięga!

Słowo „przysięga" w ustach mej matki wywierało na mnie takie wrażenie, jak zdanie Maryni Połanieckiej: „Służba Boża". Marynia, z całym jej kościelno-tradycyjnym aparatem frazesów jest dla mnie po Anielce najwstrętniejszym typem, tembardziej wstrętnem, że się spotyka często. Takie Marynie czują nie sercem, lecz głową. Kochają jak samki do rozpłodzenia, nie zaś jak kobiety z temperamentem, skłonne do szału, odczutego duszą.

I po co ludzie tworzą fałsze i w fałsz spowijają myśl młodą, niezdolną do krytycyzmu życiowego? Dziwni! Nie rozumieją tak prostej rzeczy, że opóźniony krytycyzm, rozwinięty na tle ruiny duchowej, przeobraża się w pesymizm życiowy lub w sceptycyzm umysłu.

Ach, jakże nienawidzę Maryń Połanieckich. Wszystkie obywatelki z mojej okolicy należą do tego typu, z tym odcieniem, że większość miewała w życiu nawet epizody Maszkowej. Obserwowałam też wśród mężów Maryń charakterystyczne zjawisko, podczas orgji miodowych miesięcy zacni mężowie wykładają żonom tajemnice przeszłości kawalerskiej w ramach bardzo szczupłych. O życiu żonatych nie mówią nic; o nadużyciach własnych tembardziej. Podczas ciąży żony odwiedzają kobiety również często, jak za czasów kawalerskich. Pomimo tego, jeżeli zobaczą w ręku żony książkę pornograficzną — oburzają się na żonę..

Za co? pytałam wielu.

— Jakto, odpowiadali tonem egoistycznego rozdrażnienia. Ty — nie rozumiesz tego? Cóż nam, mężczyznom, pozostaje, gdy żony stracą w nas ufność? Bez ufności nie utrzymasz ich na uwięzi, gdyż przyjdą do przekonania tego, co i my?

— Do jakiego?

A no, że własna żona dosyć prędko przestaje być ponętną.

— A czy to sprawiedliwie, panowie?

— Wiesz co, Maniu, tobie należało wyjść zamąż!

Takie słyszałam odpowiedzi...

* * *

3 lipca.

Zdaje się — z obyczajami i tradycją zerwałam. Tak mi rozum kazał... Ale serce, nałóg, — przypominają mi o moim „ja" dawnym. Dom, ziemia, okolice rodzinne i wspomnienia nęcą do powrotu. Mój dawny tryb życia na wsi był taki filistersko-dogodny! I gdyby nie Wolski podzielałabym pogląd matki, że „najlepszy pieniądz na glinie, bo nigdy nie ginie"... Dziś widzę inaczej... A jednak co za anomalja? Jakieś drugie „ja" tęskni do tej przeszłości obywatela — filistra! Troska o ziemię, o trzódkę o gospodarkę ma urok dla mnie!... Życie na wsi rozbudza gospodarską nostalgję: śnię i marzę o moim ogrodzie, o starej alei, o ciszy uroczysk mej ziemi...

* * *

(d. c. n.).



IBSEN.

Styl Ibsena.

(Ciąg dalszy).

Ażeby coś *czcić* trzeba było wmówić w siebie, że jest absolutnie inne. Trzeba było wmówić w siebie, że istnieją siły duchowe i życiowe nam nieznane, że istnieją *sposoby* myślenia i czucia nam niedostępne. Nadprzyrodzoność może przybrać i psychologiczną postać. Można mitologizować nie tylko siły fizyczne—ale i zjawiska wewnętrznego życia. Myśmy czynili to nieustannie. Ileż razy otwierałem książkę nieznanego lub znanego z entuzjastycznej oceny autora z drżeniem wewnętrznem: znajdę słowo zagadki. Gdy go nie znajdowałem, oskarżałem siebie, wmawiałem w siebie, przekonywałem, że ono jest. Tworzyłem całe metafizyczne konsomacje, aby tylko uwierzyć, że ukochany twórca to nie biedny, męczący się człowiek, — lecz święty bohater, mag i cudotwórca. Niedawno pisał mi ktoś, z powodu mojego artykułu o „Końcu legiendy", że proponuję nową. Na miły Bóg nie! Dość jest oszałomiania się. Albo mówmy, jak ludzie, słowa wiedzy i wiary, słowa pracy, lub zamilknijmy. Nie oszczędzajmy się wzajemnie, nie gwarantujmy sobie nawzajem własnych wmówień. Przeciwnie, bez litości wyrywać należy z pod nóg — każdy punkt oparcia, jeżeli jest kłamstwem. *My* — nie swoim „pięknym duszom" służyć mamy, lecz *stać się realną świadomością* narodu, który o życie swoje walczy. Naszego *ja* tu niema. Pisać po polsku — to dźwigać ciężar *wielowickowego* próżniactwa polskich warstw przodujących — to dźwigać ciężar stworzony przez szlachtę naszą. Każdy z nas ma w sobie szlachcica i sądzi że się wykupi, gdy ukaże, jak szlachcic ten jest w nim ukrzyżowany My nie cierpieć mamy, lecz pracować. Literatura nasza jest literaturą nieuków, leniuchów

i darmozjadów. Ale *dworak* nie wzbudza we mnie litości nawet swemi podartemi trykotami. Być zgrają lutnistów, którzy na ruinach pałacu szczękając zębami przelicytowują się w skomleniu jest może rzeczą interesującą. Możnaby nawet napisać o tem feljeton rzewny, jak ballada. Ale tych ballad pisaliśmy dość i nie dlatego dość, że rok 1905 był rokiem 905 — bo to jest znowu „tematyzowanie" zamiast pracy. Prawda żywa jest tą samą, jaka była przed laty. I nie o nieuwzględnianie społecznych tematów tu idzie, lecz o cały *charakter* literatury, o zrozumienie, czem jest i czem być ma. Dlatego pisząc dziś o Ibsenie, piszę i o *nas*, o naszych polskich kulturalnych zadaniach i sprawach. Ibsen dla nas to nie literacka kwestja — bo nie literackie łączyły nas stosunki z nim i jego dziełami. Był on jedną z form naszych, ucieczek, naszych ocaleń, jednym z naszych surogatów życia. Żyło się z jego dziełami i należały one do życia, wyrosły z niego, splątały się z nim. Mówić o Ibsenie, sądzić go—to sądzić całe nasze życie. Szczycimy się Ibsenem — mówimy o pogłębieniu, jakie zawdzięcza mu teatr. Zdaje się, że mięszamy tu różne sprawy. Mówimy np. że Ibsen uczynił teatr sztuką, wyrażającą stany duchowe, oddającą życie duszy. Możnaby dodać odrazu *pewne* stany duchowe, pewien rodzaj duchowego życia. Ale nie idzie tylko o to, że Ibsen środki artystyczne teatru uduchowił—przeistoczył w ten sposób, aby drgnienia duszy, wydarzenia wewnętrzne oddawały. Jest to jedna strona sprawy i tej tu nie poruszam jeszcze. Mówi się jednocześnie, że *Ibsen* stworzył głębszą, niż kiedykolwiekbądź istniała koncepcję tragizmu. I tu zaczyna się spór. *Teatr Ibsena jest żalem po tragedji*, tęsknotą za nią. Tragizm jest tu stanem utraconym, czy też podlegającym zdobyciu dopiero. Mówimy o tem, że Ibsen uczynił z indywidualności podstawę tragizmu. Bynajmniej, indywidualizm był zawsze istotą tragizmu. Ibsen zaś stwierdza tylko, że ludzie, którzy sobą nie są, — nie giną tragicznie, lecz marnieją. Teatr Ibsena opiera się na idei nie tragicznej zguby, lecz marnienia, próchnienia dusz. Jest nie—ponad tragiczny—lecz niedotragiczny: innym w naszych czasach być nie mógł — tragedja jest najwyższą formą życia — jest prawdą, objawiającą się tam, gdzie *życie* jest najpełniejsze, gdzie życie zrealizowało całą swą tęsknotę, wszystkie swe ideały, gdzie człowiek sam sobą się upoił, niczego od siebie żądać już nie może. Dopiero gdy dopełnioną zostaje cała sfera wartości znanych, istniejących dla człowieka, styka się on z tem *co się zaczyna, gdy się człowiek kończy: i to jest tragedja*, gdy mówię — gdybym był inny, gdy chcę być innym — apeluję do samego siebie, mam ponad sobą własną ideję, własną duszę. Dopiero gdy już niczego od siebie zażądać nie mogę, gdy niema już miejsca na żaden idealizm, który jest zawsze antropomorficzny — gdy czuję, że już niczem innem być nie pragnę, że nie mogłem pragnąć, — bez sprzeniewierzenia się sobie — dojrzałem dla tragedji. I wtedy dopiero grom tragiczny ukazuje mrok czy światłość, które są głębsze od człowieka. Tragedja jest jedyną postacią bezinteresownego dogmatu życia. Człowiek *ginie*, dlatego, że spełnił wszystko, oddał wszystko co ma, całe piękno swe, całą świętość swoją i że to wszystko jest niedostateczne.

Noc była pierwej,
Niźli dzień—przybłęda,
I pierwej niźli myśl
Było cierpienie.

To nie kult cierpienia, ani mroku. To kult pracy; a więc bezkresu zadań do spełnienia, wobec których gaśnie wszelkie zdobyte już światło. Cierpienie, nie jako cierpienie jest święte, lecz jako nieskończoność, bo ta nieskończoność dla tego nas gniecie, że nie jest nam obca, że jest tem, co my stworzyć, zdziałać, zapłodnić, podbić mamy. Idealizm każe człowiekowi żyć pracą i poświęceniem, aby sam z siebie był zadowolniony, powiada więc: we mnie jest *prawda*, i mnie pozostań wierny. Tragedja mówi: nic ci nie dam prócz zguby, gdy na nią zasłużysz, bo dopiero piękno całkowite twoje da ci prawo do tragicznej zguby, do zguby, pod uciskiem tego, co jest nieskończone.

Gdy to mówię już racjonalizuję — a tragizmu nie można tłomaczyć — tragizm i myśl są niewspółwymierne.

On jest zachwyt zguby,
Który nie pyta,
Czy świecą tam gwiazdy
  I płoną słońca,
Czy myśl siebie znajdzie
  W czarnej otchłani,
W którą piorun strąca.
  Piorun, co ze słońca
Bije i błękitu.
  Tu niema myśli—
Jest tylko spełnienie
  Jasnego piękna,
Tu żadna tęsknota
  Już się nie budzi,
  Tu jest duma złota
I to jest tragizm.
  Jak posąg na szczycie
Ludzkiego życia
  On tonie w błękicie.
Człowieka niema już
  Bo ma go w sobie.
Tu już Bóg tylko—
  Grom i przeznaczenie—
Ze strony ludzi: —
Podziw i milczenie.

Dopiero gdy się *czuje*, że człowiek nie może być innym, niż jest, a jednocześnie *czuje* się konieczność zguby, gdy się czuje, że gdyby człowiek zmienił się, sprawiłby nam ból, stałby się dla nas pogardy godnym, a jednocześnie czuje się, że zginąć musi, że gdyby nie zginął, pięknu jego zbywało by na ostatecznem rozwiązaniu, że ginie dlatego, że jest piękny i że to jest dobrze: czuje się tragicznie. W Ibsenowskiem — być sobą—rozumianem tak, jak je rozumie chorująca dziś na manję pogłębień—krytyka nasza—odnajdujemy echo Jean-Jacquowskiej naiwności, powrót do natury i sielanki. Być może, że sam Ibsen łudził się co do tego, być może łudził się, że dość *być sobą*, aby życie się

stało *szczęśliwe*, a przynajmniej moralnie czyste, i że to jest koniec. W artystycznym stylu jego nie odnajdujemy tego jednak. I to nadaje jego dziełom wartość: — że są one istotnie tęsknotą za łwiną, któraby miała w sobie ciężar przeczenia, że Ibsen tęsknił za poematem, w którymby czuł przeznaczenie nad sobą i—jego ciszę: nie zaś szelest myśli; bo dopiero gdy sam sobie już człowiek nie ma nic do powiedzenia: rozpościera się nad nim słoneczna cisza tragedji. Dopiero gdy tak sam o sobie człowiek stoi jak posąg w promieniach słońca, gdy nie czuje rozdarcia pomiędzy myślą a ciałem—lecz całkiem jest, — tragedja może się dopełnić. Człowiek, który sam sobie stawia żądanie jest niedosięgalny dla tragedji. Zguba cielesna pozostawia nietkniętą myśl, zguba myślowa — możność dalszej egzystencji i dalszych przeistoczeń ciała. Niedawno naród rzeźbiarzy był narodem tragików. *Ciało* jest organem naszych stosunków z wszechświatem; myślą obcujemy tylko z samymi sobą. Gdy więc ciało, losy ciała stają się obojętne: — mamy do czynienia z idealizmem, etyką, nie z tragedją. Tragedja wymaga, aby zaguba cielesna człowieka — była zagubą całej jego wartości.

St. Brzozowski.

(d. c. n.).



Listy krakowskie.

(Walka z klerykałami. „Żółci“. Brutalność policji i Rada miejska. Socjalno-polityczna działalność Rady. Strejk piekarzy).

Życie wciąż jeszcze utrzymuje się w stanie gorączki i wrzenia a nawet, rzec można, stan ten wzmógł się w ostatnich czasach. Bezwątpienia wpływa w ten sposób wciąż jeszcze paląca, zmianą prezydenta ministrów rozżarzona sprawa reformy wyborczej. Od gorączki, panującej w kraju całym nie jest wolny i Kraków, on jest nawet centrum, z którego wychodzą strumienie agitacji w różnych kierunkach i różnych barw. Wartko płynie strumień agitacji czerwonej, cicho, — podziemnie płynie czarny strumyk, a wreszcie w ostatnich czasach powstał nowy... żółtej barwy. Mamy tu na myśli nowe pisemko dla robotników, „Sztandar“, jaki wydawać zaczęli narodowi demokraci. Od innych tego rodzaju pisemek, z mniej lub więcej jawną tendencją reakcyjną, odróżnia się ów „Sztandar“ tem, że zapożycza od francuzów dobrze już tam znanej i osławionej firmy „żółtego socjalizmu“, który tam jest poprostu organizacją łamistrejków. Wątpić należy, aby w Galicji znalazł się na czas dłuższy podatny grunt dla tego rodzaju pisemka: zbyt już szeroko zakorzeniły się organizacje prawdziwie robotnicze, a szczególniej teraz zdobywają sobie coraz nowsze zakątki kraju. Wpływa na to zwiększenie agitacyjnej energji bezwarunkowo bliskość nowych wyborów, tego okresu walki doprawdy o śmierć i życie na lat kilka. W agitacji zwrócono teraz baczniejszą uwagę na wieś i na zaniedbane dotychczas pod tym względem niektóre okręgi fabryczne i kopalniane. Co niedziela — odbywa się mnóstwo zgromadzeń robotniczych i wiejskich i wszędzie z zapałem uchwalają rezolucję za reformą wyborczą.

Ciekawa walka wre w powiecie chrzanowskim i w okolicach Wieliczki, gdzie do niedawna panami byli klerykali z t. zw. centru ludowego i przedewszystkiem Stojałowski. Teraz jednak grunt usunął im się zupełnie z pod nóg na korzyść żywiołów prawdziwie demokratycznych. Wszędzie w małych nawet mieścinach i wioskach zakładają się organizacje robotnicze i chłopskie, a z Krakowa przyjeżdżają agitatorzy i ścierają się jawnie z klerykałami. Ciemnota takiej jawności nie znosi, topnieją więc szeregi zwolenników „lampiarza jerozolimskiego“ niesłychanie szybko. Aż przykro się robi, gdy się pomyśli, że przecież ten ksiądz-demagog, grający dziś na najgorszych strunach ciemnych dusz chłopów galicyjskich, był przed kilkunastu laty jednym z najzdolniejszych przywódców postępowych, prawdziwie kulturalną siłą! Dziś nie można wziąć bez obrzydzenia do ręki jego pisemka „Wieńca i Pszczółki“, a gdy się idzie na zgromadzenie, gdzie i on się znajduje, trzeba być przygotowanym na obicie przez pijanych jego zwolenników, zwanych „pałkarzami“.

Gorączkowy ruch ze strony społeczeństwa odbił się już bardzo na nerwach organów rządu „autonomicznego“ w szczególności zaś policji krakowskiej. Dowodzą tego zajścia krwawe, jakie miały miejsce tutaj na rynku starożytnej stolicy w d. 21 maja. Początek awantury był bardzo skromny: szło o aresztowanie jakiegoś pijanego, który opierał się policjantowi. Ten nie namyślając się długo, poranił biednego pijaczynę, czy nawet przygodnego pijaka, tak dzielnie szablą, że życiu jego zagraża niebezpieczeństwo. Nie było to jednak jedyna ofiara policyjnej brutalności; policjant w zapale poranił ciężko i drugiego robotnika, który stawał w obronie aresztowanego. Gdy się o tych zajściach dowiedziała ludność Krakowa, tłumy ludzi zebrały się na rynku, gdzie się mieści areszt wojskowy i gdzie został tymczasowo umieszczony aresztowany. Wtedy dopiero policja konna zaczęła pokazywać, co umie, płazując ile wlazło najspokojniejszych przechodniów. Dzika ta rozprawa trwała do późnego wieczora i pozostawiła po sobie ogólne oburzenie. Przeciw komu powinno się to oburzenie przedewszystkim skierować? Czy nie przeciwko tej Radzie miejskiej, która sama prosiła o zaprowadzenie policji konnej w Krakowie (mamy tę nowość dopiero od kilku miesięcy), która wydaje z górą 30 tysięcy koron rocznie na policję, która przytem jest zupełnie od niej niezależną. Trzeba bowiem wiedzieć, że w Krakowie i Lwowie jest policja wojskowa, zależna jedynie od komendanta wojskowego. Są to jedyne dwa miasta, które mają tego rodzaju policję i to na żądanie własnych radców! Chociaż więc słusznym jest oburzenie na sprawców przelewu krwi, dobrze się jednak

stało, że krakowscy mieszczanie na własnej skórze poczuli dobrodziejstwa, jakie spływają na nich z rąk ich własnych radców.

W parę dni po opisanych zajściach odbył się wiec akademicki, na którym zaprotestowano przeciwko gwałtom policji krakowskiej. Pomiędzy aresztowanemi było i kilku akademików, których odprowadzono do aresztu, chociaż mieli przy sobie karty legitymacyjne. Wobec tego więc na wiecu postanowiono zwrócić wydane przez uniwersytet karty, jako zupełnie niepotrzebne, jeżeli senat akademicki nie wystąpi przeciwko postępowaniu policji.

Tak więc utrzymywanie i faforyzowanie policji wojskowej przez krakowską Radę miejską najlepiej charakteryzuje jej prawdziwe oblicze, przynajmniej jej większości. Kto się bliżej nie przyjrzał tej instytucji mógłby o niej z pozorów zbyt dobre mieć mniemanie: chociażby dla przykładu wziąć świeżą jej uchwałę co do założenia w Krakowie miejskiego biura pracy. Pozornie jest to bardzo chwalebny zamiar i nic mu zarzucić nie można. Ale przypatrzmy się bliżej tej pracy z dziedziny polityki socjalnej, a przedewszystkim przejrzyjmy opracowany przez komisję statut. Szydło wyjdzie z worka! Oto ten chwalebny zamiar wcielił się w skarlałe ciało pod wpływem Rady miejskiej. Zapytajmy dlaczego § 4 statutu opiewa, że pierwszeństwo w pośrednictwie mają „miejscowe potrzeby i siły". Jeśli naprz. Śląsk zapragnie otrzymać roboczą siłę z Krakowa, czy okolic jego, to musi na to otrzymać specjalne pozwolenie krajowego biura pośrednictwa pracy. Utrudnienie to stanie się dla nas zrozumiałem, jeśli przypomnimy sobie, jak to boli panów właścicieli ziemskich w Galicji coroczne szukanie pracy i lepsze płace zagranicą owe „saksy", jak wszelkiemi siłami pragną zatrzymać lud roboczy na miejscu, aby się nie „demoralizował", mówiąc zaś zwykłym językiem, aby nie nauczył się podnosić swych wymagań i stopy życiowej.

Następnie zarzucić można statutowi projektowanej instytucji, że ustanawia w ten sposób władzę nad nią, iż robotnicy nie mieliby w niej nigdy głosu decydującego, lecz byliby zawsze w mniejszości. Zarząd mianowicie ma być dwuizbowy: wydział zawiadowczy i prócz tego zjazd delegatów. W pierwszym przedstawiciele pracodawców mają większość absolutną (7:3), w drugim zaś znajdują się jedynie pracodawcy. Tak się przedstawia po głębszej krytyce ten czyn Rady miejskiej. Ktoby zaś jeszcze nie przekonał się i wierzył w szczere intencje zajęcia się sprawami robotników przez Radę miejską, ten powinien zapoznać się z postępowaniem prezydenta Lea i jego kliki, stanowiącej większość podczas strejku piekarzy, jaki mieliśmy tu przed dwoma tygodniami. Każdemu wiadomo, że praca w piekarniach należy do najcięższych i że warunki hygieniczne i zarobkowe w tym zawodzie prawie wszędzie źle się przedstawiają. Klasycznym jednak przykładem tego były straszne wprost stosunki w piekarniach krakowskich. Przed paroma miesiącami sam miałem sposobność na jednym z zebrań piekarzy słyszeć opowiadania o nadludzkiej wprost pracy po 18 i więcej godzin na dobę, o strasznych warunkach hygienicznych i małych wynagrodzeniach. Długi czas znosili ten stan rzeczy piekarze, aż wreszcie, tego roku ich organizacja zawodowa postanowiła położyć temu koniec. Wybuchł strejk, a wraz z nim zaczęły się różne sztuczki majstrów i władz miejskich, mające na celu złamanie strejku. Właściciele piekarni pobrali swych parobków od stajni i zagnali ich do robienia pieczywa, niedbając o elementarną czystość. Władze wiedziały o tem, ale rade były, z tego, bo szło przecież o złamanie strejku. Rozeszły się nawet głośne wieści po mieście, że prezydent miasta Leo zapytywał komendanta korpusu krakowskiego, czy i ilu piekarzy wojskowych mógłby dostarczyć miastu w razie dłuższego strejku! Pomimo tych wszyskich knowań strejkujący zwyciężyli już po jednodniowym trwaniu strejku na całej linji, uzyskawszy bardzo znaczne polepszenie swej doli.

Wspomniałem o tem, że strejk no i zwycięstwo spowodowała siła organizacji zawodowej. Przytoczę parę liczb o organizacji zawodowej, wyjętych z najnowszego sprawozdania sekretarjatu zawodowego w Krakowie. Cyfry te oznaczają bardzo duży i szybki wzrost organizacji zawodowych wogóle. Co do piekarzy to widzimy, że w r. 1905 w maju było: 2 grupy krajowe ze 112 członkami i 3 centralne z 95 członkami. W maju r. b. mamy 2 grupy krajowe ze 120, ale zato 9 centralnych ze 315 członkami. Wzrost centralnej organizacji odpowiada w zupełności zamiarom sekretarjatu, który stara się centralizować wszystkie związki zawodowe.

St. Krauz.



Listy z Włoch.

Sardynja.

„Lo stato attuale della Sardegna è una vergogna sociale di tutta l'Italia".
Z korespondencji „Il Secolo"

Na morzu Śródziemnym w dwunastu kilometrach od Korsyki leży niewielka wyspa — Sardynja.

Posiada ona bogatą historję, sięgającą w głąb czasów, jeszcze hen, daleko do Narodzenia się Chrystusa. Niegdyś, nadzwyczaj żyzna, była śpichlerzem rzymskim.

Przechodziła jak piłka z rąk do rąk: od Rzymian do Hiszpanów, od Hiszpanów do Austrji, tworzyła i samodzielne państwo...

Niezatartemi zgłoskami zapisała się Sardynja w historji zjednoczenia Włoch. W 1848 roku Karol Albert, król sardyński, ogłosił słynny statut —dzisiejszą konstytucję włoską... A potem zapomniano o niej.

Dostarczała Sardynja rozmaitych kruszców i produktów spożywczych i wegetowała. Biurokracja włoska posyłała na wyspę najżarłoczniejszych urzędników, posyłała tych, którzy najbardziej kradli, i, trzymając się

zasady: „ręka rękę myje“ chowała ich od oczów ludzkich w Sardynji, dając im możność rozwijania swoich wrodzonych zdolności na tej wyspie dalekiej, otoczonej morzem, nie bardziej słonym, niż łzy wylewane stale przez uciemiężonych sardyńczyków.

Jest na tej wyspie jadowita trawa, tak zwana *Sardonica herba*. Gdy człowiek zakosztuje jej, umiera z ustami wykrzywionemi w kurczowym uśmiechu..

Jest w Sardynji szarańcza, niszcząca pola i łąki.

Posiada Sardynja błota, rodzące malarję.

Zwiedzali ją korsarze, niszcząc i pustosząc brzegi.

Chłopi — jeszcze biedniejsi niż sycylijscy...

Posucha niszczy pola...

Ciemnota, nędza!

Ale ziemia sardyńska posiada bogactwo w łonie swoim.

Zjawiła się więc szarańcza nowoczesna... kapitaliści.

Mieszkańców Sardynji, wedle spisu ludności 1903 roku 817,673. Robotników, wedle danych 1906 r. Ministero della agricoltura e commercio, 22,426 W tej liczbie górników w kopalniach cynku, srebra i ołowiu 12,655. (Należy zauważyć, że w całych Włoszech wraz z Sardynją w tym dziale przemysłu jest zatrudnionych 14,428.)

Uprawa roli stoi w Sardynji na bardzo niskim stopniu kultury, gdyż przeważa drobna własność, i chłopi zbyt biedni, by zaprowadzić jakiekolwiek ulepszenia.

Kilka cyfr może rzucić światło na nędzę panującą tu. W 1894 r. było 3650 wypadków sprzedaży własności chłopskiej za niespłatę podatków. Do szkoły uczęszcza 5,9% ludności... Na 100 nowobrańców—analfabetów 65 -- 70%. Nędza i ciemnota są przyczyną silnego rozwoju przestępstw. W sprawozdawczym 1894 roku na 100.000 mieszkańców było zabójstw 24, wypadków poranień, zaregistrowanych 271, kradzieży 800. Ogółem sądy skazały za kryminalne przestępstwa w ciągu 1894 r. — 11,411 osób.

Gospodarka na wyspie panuje na tyle nieumiejętna, że warunki istnienia dla biedniejszej części ludności stają się coraz uciążliwszemi. Stałe wyrąbywanie lasów zrobiło swoje: niegdyś urodzajna gleba jałowieje od braku wilgoci.

Chłop sardyński walczy z szarańczą, malarją, posuchą, z podatkami nadzwyczaj wysokiemi, a kiedy pomimo nadludzkich wysiłków szybko biednieje i nie umiera, czeka go kopalnia, fabryka, emigracja.

Kopalnia... Kto z nas, myśląc o kopalni nie przypomina sobie bladych, wychłudłych twarzy naszych dąbrowieckich męczenników, a jednak kopalnie w Sardynji, to jeszcze coś lepszego. To nie tylko nędza, nie tylko praca nad siły, to niewola, to gorsze niż malarja, posucha i szarańcza razem wzięte.

Życie przemysłowe Sardynii grupuje się przeważnie około dwuch miast Caglliari i Sassari. Caglliari, siedlisko magnatów, panków i feodałów współczesnych. Miasto, posiadające 40,000 mieszkańców przepełnione przepychem, pałacami, blaskiem, otoczone kopalniami, jak wampir wysysa życie ludzkie. Tu każdy kamień, każda ozdoba pałacu ma swoją krwawą historję. Kapitaliści, zapuściwszy swoje ssawki w serce ludu sardyńskiego piją jego krew i pęcznieją.

Warunki istnienia górników, wydobywających cynk, ołów i srebro, są fantastycznie okropne!

Kopalnie nie posiadają prawie żadnych ulepszeń sanitarnych; dzień roboczy — nieskończenie długi; płaca od 60 centesimów do 3 lirów 50 c.; wypłata bonami. Za bony robotnik może otrzymać najgorszego gatunku prowianty w fabrycznych sklepach, przyczem ceny rosną wedle upodobań sklepikarzy: cena chleba, kosztującego we Włoszech 35 ct. za kilogram, dochodzi w sklepach fabrycznych do 45 — 50 ct. Mięso droższe, niż gdzieindziej. Za bony usłużny sklepikarz daje i pieniądze, tylko że za lirę robotnik otrzymuje 70 — 75 ct. za pozostałe bony w końcu miesiąca (o ile takowe zostają!) zarząd fabryki wypłaca robotnikom gotówkę. Żadnych kontraktów między przedsiębiorcą i robotnikami w Sardynji niema. Zarząd kopalni uwalnia robotników bez uprzedzenia i kiedy mu się podoba.

Większość wsi, otaczających kopalnie, należy do przedsiębiorców, którzy korzystając z tego, nie pozwalają na swojej ziemi urządzać zgromadzeń robotniczych.

Oto warunki istnienia górników!

Prócz przemysłu górniczego bardzo jest rozpowszechniony w Sardynji wyrób produktów spożywczych, a mianowicie sera, wywożonego w wielkiej ilości na kontynent. Dział ten przemysłu nazywa się caseificii Ta gałąź przemysłu zaczęła kwitnąć, począwszy od 1850 roku. Od tego czasu podskoczyły znacznie ceny na produkty mleczne, jedyny prócz chleba pokarm robotników i biedniejszych chłopów. O ile więc to podniosło dobrobyt właścicieli krów, o tyle nie wpłynąwszy na podniesienie płacy zarobnej, zrobiło istnienie większości mieszkańców wyspy jeszcze rozpaczliwszym. Warunki pracy w caseificio jeszcze gorsze niż w kopalniach. Dzień roboczy trwa od 16—17 godzin na dobę z płacą 60 — 70 ct. (22 — 25 kop) Dwadzieścia dwie kopiejki! A funt mięsa kosztuje na tej błogosławionej wyspie 25 — 30 kop., funt chleba 7 — 8 kopiejek, litr mleka, kosztującego dawniej 4 kop., obecnie kosztuje 6 — 8. Można więc sobie wyobrazić, jak karmią się robotnicy, pracujący po 16 — 17 godzin na dobę. Warunki najmu takież jak i w górnictwie: kontraktów niema.

Są na wyspie i sądy, ale sędziowie to krewni, przyjaciele, znajomi kapitalistów. Za to rząd pamięta dobrze o tem, by wyspa posiadała zawsze w dostatecznej liczbie siły wojenne, bo może się zdarzyć, że robotnikowi nie spodoba się taka gospodarka i głowę podniesie. Stara się też rząd o to, by celny wystrzał rządowego karabinu uspokoił zapaleńca.

Przepomniano jednak, że kapitalizm, rujnując drobną własność, powołuje do życia armję antypodów swoich, armję, nie mającą nic do stracenia, powołuje do życia klasę, która samą logiką swego położenia społecznego staje się wrogiem i sędzią swych ciemiężycieli.

Długie lata posyłano na wyspę urzędników, posyłano wojsko, jeździli kapitaliści i wracali z pełnemi sakwami, a lud cierpiał i cierpiał. Marł z głodu, marł od malarji, marł od przepracowania. Czasem tylko tu i owdzie zjawiała się wiadomość, ulotna korespondencja, ale nikt poważniejszej uwagi na Sardynję nie zwracał. Przyznają to wszyscy.

Aż oto w początku maja bieżącego roku zaczęły się jakieś rozruchy. Rząd posłał przedewszystkiem wojsko. W połowie maja już ajencje telegraficzne i korespondenci gazet burżuazyjnych puściły w obieg straszne dla nich słowo: bunt.

W Sardynji bunt!

Rząd posłał znów wojsko. Prawie jednocześnie posłała partja socjalistyczna Cabrini'ego dla zbadania sytuacji. Pisma demokratyczne wysłały swoich korespondentów. Zaczęły wychodzić na jaw okropne rzeczy.

Rozruchy, które trwały w Sardynji około trzech tygodni, trudno nazwać świadomą walką proletarjatu. Był to raczej jakiś dreszcz malaryczny, jakiś żywiołowy odruch zgłodniałej masy. Ludzie rzucali się na widocznych swych wrogów: na sklepy, fabryki, zarządy municypalne, kopalnie.

Jest to bezwątpienia pierwszy stopień ruchu robotniczego. Świadomość proletarjatu, rozwijając się, pcha go na inną drogę. Robotnik zaczyna rozumieć, że walczyć należy nie przeciwko fabryce, lub oddzielnemu kapitaliście, lecz przeciwko całemu systemowi.

W początku maja tłum robotników do 1500 osób w Budrio urządził demonstrację i, przechodząc koło sklepu Menarini, zażądał zamknięcia go, a gdy właściciel odmówił, zaczęto rzucać do sklepu kamieniami. Menarini wystrzelił. Rozzłoszczony tłum rzucił się do wnętrza sklepu, niszcząc wszystko. Zjawiło się wojsko, dało salwę. Kilku robotników padło trupem, inni ranni. Po wystrzałach na prośbę delegata robotniczego pozwolono urządzić meeting, ale po meeting'u mówcy byli aresztowani. W innych miejscowościach robotnicy i chłopi pracujący w coseificio, rzucali się na zakłady i niszczyli je, to znów na municypalitety lub kopalnie. W Gonnesa kilkuset robotników weszło do sklepów, żądając chleba a gdy im odmówiono zabrali go sami, niszcząc sklepy spotykane po drodze. Policja zaczęła rozganiać tłum, robotnicy jednak ustąpić nie chcieli. Wojsko dało salwę, raniąc 13 osób, zabijając trzy. W Nelida powtórzyło się to samo. Przyszli tu robotnicy z Gannesy w liczbie 800 osób z czerwonym sztandarem, a gdy policja chciała zatrzymać pochód, roznieśli zarząd policyjny, poczem udali się do sklepu, który w ciągu trzydziestu lat wraz z administracją kopalni obdzierał robotników, i rozbili go, zjawiło się wojsko, dało salwę. I znów trupy i ranni.

W innych miejscowościach policja bez powodu napadała na robotników i aresztowała ich. Towarzysze, chcący uwalniać aresztowanych byli rozstrzeliwani i ranieni.

Podobne zajścia bez planu, bez organizacji miały miejsce na całej wyspie.

Było zresztą parę wypadków polubownego załatwienia żądań robotników. W Sassari górnicy zażądali zmniejszenia dnia roboczego; dwaj przedsiębiorcy zgodzili się na ustępstwa i bez rozlewu krwi zmniejszyli dzień roboczy do... 11 godzin! W Korunnie Porto Torres robotnikom coseificio zmniejszono dzień roboczy do... 13 godzin!!!

Administracja wyspy zapełniła więzienia robotnikami i... korespondentami gazet socjalistycznych.

Na wyspę prócz Cabrini'ego przyjechali dwaj republikańscy deputowani: Valeri i Chiesa. Ci ostatni już wrócili do Rzymu i rozpoczęli wraz z partją socjalistyczną natychmiastową akcję w celu polepszenia bytu sardyńczyków.

Obecnie „prawie się uciszyło". Kilkaset osób siedzi w więzieniu, parę tysięcy robotników przedsiębiorcy nie przyjęli z powrotem do roboty.

A pisma burżuazyjne zawiadamiają, że bunt został zgnieciony.

Czy na długo?

Władysław. Kobylański.



Tydzień polityczny.

W parlamencie francuskim odbył się rekord polityczny. Przedstawiciel idei kolektywizmu Jaurés wyłożył zasady socjalistycznego ustroju, wystawiając go nie jako ukryty za mgłą przyszłości ideał, lecz jako cel bezpośredniej walki. Pierwszy to raz z trybuny parlamentarnej rzucano wyzwanie kapitalistycznej gospodarce, przeciwstawiając programowi mieszczańskich reform program socjalistyczny, programowi półśrodków—całkowite przekształcenie gospodarczych form życia. Partje socjalistyczne prowadzą walkę parlamentarną nie od dzisiaj, lecz walka ta była skierowana na potrzeby dnia jutrzejszego—i dlatego nieraz socjaliści miewali sojuszników z burżuazyjnego obozu. Walka, jaką zapowiedział Jaurés, ma być walką o całkowity ideał społecznej sprawiedliwości—i to było nowem w kronikach parlamentaryzmu.

Może dlatego, a może i z powodu, że antysocjalistyczna większość w parlamencie czuje swą siłę, hasła, rzucane przez Jaurés'a, były spotkane kpinami. Ba, przy współczesnem zróżniczkowaniu życia, parlament nieprędko przedstawiać będzie większość, nie obawiającą się śmiało, choćby po gruzach starego, przejść do nowego porządku: długo jeszcze będą w nim silni i stanowczy w mniejszości przeciw wielkiej masie tchórzliwych, niezdecydowanych albo obłudnych.

Armja proletarjuszy musi sama stoczyć ostateczną zwycięską walkę. Ona tylko może porwać za sobą masy bezwładne rozpędem swej siły i stanowczością swej woli. Pośrednicy — a taką rolę tylko odgrywać może parlament,—którzy z natury rzeczy nie mogą posiadać w sobie żywiołowej energji ruchu masowego, niosący na sobie brzemię ogromnej odpowiedzialności, unikać będą zawsze stanowczych kroków i jak dotychczas, tak i w przyszłości zbaczać będą na drogę kompromisów.

Nie należy więc wszystkich nadziei pokładać w akcji parlamentarnej. W czasach spokojnych, jest ona tylko złudzeniem kroczenia naprzód. Za to w epoce

„burzy i wrzenia“ może ona być iskrą, która do życia budzi utajone siły, wichrem, rozdmuchującym tlejące ognisko niezadowolenia — i to jest prawdziwe dziejowe zadanie parlamentów w ustroju kapitalistycznym.

Lecz wiadomo, że Jaurés jest socjalistą „parlamentarnym“, że wyobraża on sobie rewolucję społeczną, jako długi szereg wystąpień, zmieniających powoli podwaliny starego porządku. Taktykę tę opiera on na przecenianiu siły tej klasy społecznej, która na zasadzie roli, jaką odgrywa w społeczeństwie, stoi pomiędzy zainteresowanemi w zachowaniu dotychczasowego ustroju kapitalistami i proletarjatem. Oto co Jaurés twierdzi:

„Pomiędzy mniejszością 250,000 posiadaczy, którzy reprezentują $^2/_3$ narodowego kapitału i olbrzymią masą proletarjuszy, znajduje się warstwa średniej i drobnej burżuazji i demokracji wiejskiej, która posiada około 60—80 miljardów majątku. Aby przemiana społeczna mogła się odbyć, koniecznem, jest aby ta warstwa była przekonaną, że rewolucja społeczna jej nie odbierze nic. Dlatego „polityka partji socjalistycznej powinna być jednocześnie polityką reform i rewolucyjną, proletarjacką i demokratyczną“.

Lecz ta właśnia warstwa ludności, posiada najmniej politycznego charakteru i korzy się ona tylko przed siłą. Tak też będzie w chwili rewolucji społecznej: tylko siła „proletarjatu zmusi drobne mieszczaństwo do przejścia w jego szeregi. A „przekonywa“ je z powodzeniem — siła kapitału.

Jaurés opiera swą przepowiednię bliskiego panowania socjalistów we Francji na zasadzie olbrzymiego postępu, jaki uczyniła w tym kraju koncentracja kapitału.

Podług obliczeń ministerjum finansów w 1904 roku okazało się, że 79,108 osób posiada 91 miljardów 548 miljonów franków, co stanowi około połowy całkowitego majątku Francji. Dalej z obliczeń wypada, że 43,000 osób posiada 71 miljardów 640 miljonów, to jest $^1/_3$ całkowitego majątku Francji.

Drobna własność przedstawia kapitał 497 miljonów, znajdujący się w posiadaniu 103,157 osób. Z drugiej zaś strony 167 osób posiada 794 miljonów i w ten sposób potęga ekonomiczna takiej drobnej grupy osób dominuje nad potęgą ekonomiczną 103,157 drobnych posiadaczy.

Dalej okazuje się, że we Francji 6120 osób posiada więcej niż po 2 miljony każda i ogółem 53 miljardy. Natomiast 10 miljonów osób, z których każda rozporządza kapitałem do 1000 franków, posiadają razem tylko 23 miljardy.

A poza temi co posiadają choć coś, stoi jeszcze cała masa tych, co nie posiadają nic, oprócz swoich rąk, i takich jest podług obliczeń Jaurés'a 15 miljonów. Czyli, że 6,120 osób posiada potęgę, pozwalającą im panować nad 25 miljonami ludzi.

Koncentracja więc własności prywatnej we Francji przedstawia się bardzo imponująco. Ale z koncentracją kapitału nie postępuje jednocześnie koncentracja uświadomienia konieczności zmiany ustroju burżuazyjnego na socjalistyczny.

Życie nie daje się przedstawić w liczbach: budując na ostatnich, należy być ogromnie ostrożnym i nie dawać porywać się ich złudnym blaskom.

Jaurés'owi odpowiedział Clemenceau. W feljetonowej mowie swej, nazwał pracę socjalistów utopijną, a swoją za jedynie owocną. Nie mając argumentów na zbicie rzeczowych dowodów Jaurès'a i jego przyjaciół, Clemenceau za pomocą zręcznych dowcipów i sentymentalnych frazesów bronił swej polityki. A zresztą wytoczył i działo niby naukowe: że człowiek wytwarza środowisko, a więc należy reformować człowieka.

I temu dziennikarskiemu argumentowi przyklasnęła ogromna większość izby, składająca się z literatów, adwokatów i uczonych, doskonale znających jego naukową nicość.

I ogromna większość głosowała za rządową formułą przejścia do porządku dziennego. Skrajna prawica, chwiejne centrum i radykalna lewica podały sobie zgodnie dłonie przeciw socjalistom. Rozpadł się blok antyklerykalny, a na jego miejsce tworzy się nowy—antysocjalistyczny, składający się z dawnych zaciętych wrogów.

A więc tymczasem we Francji koncentracji kapitałów przeciwstawia się rozwój klasy robotniczej, a tej ostatniej—koncentracja obrońców „starego porządku“.

Prezes francuskiego gabinetu w deklaracji rządu obwieścił Francji tę drogę, po której kroczyć zamierza. Treść tej deklaracji była znaną już przed jej ogłoszeniem, bo jasnem było, że punktem jej wyjścia muszą być ostatnie wybory i polityczna fizjonomja parlamentu. Sarrien nie szczędzi obietnic i przyrzeka zapełnić dotychczasowe luki w prawodawstwie społecznem, przyczem najwięcej uwagi zwraca na palącą sprawę robotniczą. Lecz program nowego rządu nie odznacza się oryginalnością i nie wnosi nic nowego, nic coby już nieraz nie było obiecywane. Powtarzając punkty radykalnych programów nie określa jednak ściśle zamiarów rządu, nie zaznacza wyraźnie kierunku i zakresu reform, tak samo, jak działo się i dotychczas we wszelkich programach ministerjalnych. Mgliste obietnice — to furtka, przez którą większość przechodzi zwykle do porządku dziennego nad najbardziej palącemi sprawami; to też błędem byłoby budować wielkie nadzieje na treści ministerjalnej deklaracji. W polityce słowami pokrywa się bardzo często beztreść; konkretną zaś wartość posiadają jedynie czyny. Ale nawet obietnice Sarrien'a nie wystrzelają śmiałym łukiem w przyszłość, nie wychodzą poza obręb burżuazyjnego radykalizmu. Nie poruszają one żadnych nowych zagadnień i nie wkraczają w dziedzinę p r o l e t a r j a c k i e g o demokratyzmu. Nie są one mostem pomiędzy antidemokratycznym ustrojem teraźniejszości i przyszłością, lecz łatami, któremi burżuazja chce zaszyć największe dziury obecnego ustroju. Jaurés w swojej odpowiedzi zaznaczył połowiczność programu, przeciwstawiając mu socjalistyczny, którego urzeczywistnienie znakomity socjalista francuski przepowiada na rok 1910. Ale, zdaje się, że zwycięstwo w obecnych wyborach zanadto zaróżowiło Jaurès'owi szkła optymizmem: było ono bezwątpienia republikańskiem, ale jeszcze nie proletarjackiem. Świadomość przeciwieństw klasowych może w cztery lata ogromne uczynić postępy, ale nie jest w stanie usunąć gmachu przesądów budowanych wieki. Jaka przepaść dzieli słowa od czynów—najlepszym tego dowodem katastrofa w Courrières. Zda-

wało się, że rząd francuski szczerze zajął się sprawą zarówno winnych nieszczęściu, jak i też tych wszystkich, którzy stracili swych żywicieli i opiekunów. Już trzy miesiące trwa śledztwo administracyjne i sądowe, a wdowy i matki ofiar czekają na jego koniec, aby zażądać od Towarzystwa kopalni odszkodowania. Ale prawo określa tylko minimum odszkodowania, czyniąc jego wysokość zależną od stopnia winy Towarzystwa. Tymczasem Towarzystwo kopalni korzysta z przeciągania sprawy, wyzyskuje nędzę wdów i matek, która zmusza je do dobrowolnego umawiania się o odszkodowanie, które, rzecz oczywista, nie przekracza prawnie określonego minimum. W ten sposób Towarzystwo kopalni robi oszczędności kosztem nędzy setek rodzin, co przyczynia się do głuchego wrzenia pomiędzy robotnikami. I jeżeli rząd nie przyspieszy śledztwa, wrzenie to może przeistoczyć się w szalony wybuch rozpaczy.

Wypadki w Courrières wpłynęły na ton rozpraw na niedawno zakończonym XVII-ym międzynarodowym kongresie górników w Londynie. Międzynarodowy związek górników został założony w 1830 roku i reprezentuje w chwili obecnej interesa 1408000 górników. Na dorocznych zjazdach delegaci różnych związków zawodowych zaznajamiają się z postępem sprawy robotniczej w różnych krajach i wracają do domu, przywożąc ze sobą otuchę, a często i nowe metody walki.

Robotnicy cierpią pod jarzmem konkurencji nietylko w granicach jednego państwa, ale i na rynku wszechświatowym. To też jednym z zadań międzynarodowego związku górników jest usuwanie konkurencji za pomocą regulowania płac i warunków pracy. Tymczasem płace w różnych krajach nie są jednakowe w znaczeniu stosunkowem, t. j. uwzględniając ogólne warunki życia. W Szkocji średnia płaca minimalna wynosi rb. 2.67 za średnie $8^1/_2$ godzin pracy w szybie, w Belgji za średnie 10 godzin pracy rb. 2.31, a w Austrji r. 1.26. Podane liczby odnoszą się do najwyższych zarobków. Kobiety, zatrudnione przy kopalniach są bardzo źle płatne. Za $11^1/_2$ godzin pracy w Belgji otrzymują 71 kopiejek, a w Austrji tylko 52 kopiejki. Kongres postanowił dążyć do osiągnięcia drogą walki ekonomicznej minimum płacy, ustanawianej od czasu do czasu w porozumieniu się robotników i przedsiębiorców. Minimum płacy usuwa konkurencję pomiędzy robotnikami i czyni ich zarobki niezależnemi od konjuktury. Z krajów Europy jedynie górnicy angielscy korzystają z minimum płacy. XVII Kongres międzynarodowy górników tem odznaczał się od poprzednich, że poraz pierwszy brali w nim udział przedstawiciele niemieckich chrześcijańskich związków zawodowych. Jest to dowodem, że świadomość robotnicza przenika i do tych sfer robotniczych, które dotychczas unikały stanowczej walki, krocząc po drodze kompromisów... Z rezolucji przyjętych przez kongres na zaznaczenie zasługuje rezolucja za unarodowieniem kopalń, przeciw której głosowali tylko przedstawiciele chrześcijańskich związków i amerykańskich górników.

Reforma wyborcza w Austrji wciąż jeszcze wisi w powietrzu. Nowe ministerjum Becka ma prawdopodobnie najlepsze chęci, ale brak mu, jak i poprzednim siły do zwalczenia wszystkich przeszkód i przeprowadzenia reformy. Wrogowie reformy nie śpią. Pod pozorem bronienia narodowych praw chcą oni obrady nad reformą przeciągać, tak aby nie mogła zostać przeprowadzoną przed 11 grudnia. Data ta jest dla reformy wyborczej fatalną, bo zakończa ona okres prawodawczy obecnego parlamentu i w ten sposób różni wszechpolacy, — niemcy i — czesi chcą reformę pogrzebać. W sferach robotniczych austrjackich panuje z tego względu ogromne rozdrażnienie i egzekutywa partyjna otrzymuje ze wszystkich stron zarzuty, że nie daje sygnału do jeneralnego strejku. Tymczasem partja socjaldemokratyczna wydała odezwę, w której zapowiada w najkrótszym czasie trzydniowy strejk w Wiedniu, co ma dla rządu być niejako przestrogą. Dopiero w ostateczności odwoła się ona do powszechnego strejku. „Jeżeli— powiada odezwa — panowie z komisji dla reformy wyborczej nie zechcą pracować, aby udaremnić prawo ludu, to robotnicy porzucą pracę, aby prawo ludu zdobyć. Zobaczymy, kto wytrzyma dłużej". Proletarjat więc austryjacki może wkrótce po raz pierwszy wystawi swoją armję bojową do walki z siłami wyzysku i reakcji. I zapał, jakim jest przeniknięty, karność w jego szeregach, jednomyślność w pragnieniach daje nadzieję, że w walce swej zwycięży.

Leon Perl.



Redakcja „Przeglądu Społecznego" przyjmuje składki na rzecz ofiar pogromu Białostockiego.

OGŁOSZENIA.





Redaktor i Wydawca *Stefan Szczawiński.* Warszawska Drukarnia Estetyczna, Wielka 25.